



Kochani...

Czy wiecie kogo niedawno spotkałem i jakie teraz mam zmartwienie? Nie? To Wam opowiem.

Było to tak:

Idę sobie drogą, pogwizduję. Wesolo mi, bo mnie Stary Krasnal pochwalał. Patrzę, a tu z za krzaku wychodzi jakiś chłopak, siada przy drodze, pociąga się i strasznie poziewa. E, myślę, niewyspany jakiś — i idę dalej. Ale słyszę, że on woła mnie po imieniu:

— „Długonogi, zaczekaj!”

Zatrzymałem się, pytam czego chce i jak się nazywa.

— „E, czyżbyś mnie nie znał?! Bo ja to wszystkich twoich przyjaciół znam. I Fełę, i Janinę, i Czesia, i Halinkę i wszystkich! Ze wszystkimi się zaprzyjaźniłem. Myślę, że i z tobą się zaprzyjaźnię” — mówi i mruga na mnie łobuzersko.

— „Może, ale kto jesteś?” — pytam, bo mi się jakoś ten chłopaczyna nie spodobał.

A on się śmieje i mówi:

— „Jestem Duszek, a zwał mnie Leniuszek. Właśnie wracam z podróży, odwiedzałem twoich Krasnalików. Tak się z nimi zaprzyjaźniłem, że do mnie zrobili się podobni, bo: kto z kim przystaje takim się staje!”

Rozgniewałem się nań bardzo, tupnąłem nogą i mówię:

— „Jak śmiesz mówić o moich przyjaciółach, że do ciebie, Duszku-Leniuszku, są podobni? Wśród moich przyjaciół nie ma leniuszków, wszyscy są zuchy, wszyscy: chłopcy i dziewczuchy!”

A on na to śmiać się zaczął i, chichocząc, mówi:

— „Tak? Hi, hi, hi!!! To pójdz do redakcji i zobacz, czy ci twoi przyjaciele o tobie nie zapomnieli. Spójrz na stół i do szuflady, czy dużo tam liścików od nich znajdziesz? Napewno nie, bo wszystkie twoje Krasnaliki w Leniuszków się przemieniły, a i ty, że ze mną pogadałeś, z Krasnała w Leniucha się zmienisz!”

Zgniewał mnie tem tak bardzo, że aż go zwymyślałem. A on, śmiejąc się, skrył się do lasu. Ja zaś zawróciłem z powrotem, ale już nie gwizdałem — popsuł mi humor niedobry duszek.

W redakcji zaraz zacząłem szukać liścików od przyjaciół — małych Krasnalów. Przeszukałem stół i wszystkie szuflady. Nie! Zrobiło mi się smutno, ale się pocieszałem, że jutro listonosz przyniesie. Tymczasem ani nazajutrz, ani żadnego z następnych dni nie mi listonosz od Krasnalów nie przyniósł. Zasmucilem się srodze, tak srodze, że aż mi się nos wydłużył i nadół wisiął, a koledzy Krasnale szeptali, że teraz to już będą mnie nazywać nie Długonogim, lecz Długonosym.

Czekałem kilka dni, a potem straciłem nadzieję. Nic mi się nie chciało robić. Nawet brodę przestałem golić, choć teraz Krasnale brodę nie noszą. Pomyślałem sobie, że jak tak, to i ja nie pisać nie będę, że pocóż teraz wydawać „Krasnoludki”? Dla kogo? Niech przyjaciele poproszą Duszka-Leniuszka, żeby on dla nich gazetkę drukował.

Aż tu wczoraj przybiega do mnie Krasnal Niewielki i mówi, że mnie Stary Krasnal wzywa, że gniewa się na mnie czegoś.

Poszedłem.

A Stary Krasnal spojrzął na mnie srogo i pyta:

— „Dlaczego nic nie robisz?! Czemu brody nie golisz? Dlaczego nos masz spuszczonej na kwintę?! He?!”

Opowiadam mu wtedy co i jak. Stary Krasnal słucha uważnie, a potem mówi:

— „To i ty stałeś się przyjacielem Duszka-Leniuszka, bo zamiast robić gnuśniejesz? Daję Ci polecenie: masz wypędzić tego niedobrego Duszka za siedem gór, za siedem rzek, za siedem lasów. Ogol brodę i marsz do roboty, a póki Duszka nie wygonisz, na oczy mi się nie pokazuj!”

Poszedłem jeszcze więcej zmartwiony i nie wiem teraz, co robić, bo Duszek gdzieś się zapodział i ani rusz znaleźć go nie mogę. Dawniej, kiedy miałem tyle przyjaciół wśród Krasnalów, poprosiłbym ich — napewnoby mi dopomogli. Ale dziś...

Spróbuję jednak. Może nie wszyscy z Was zapomnieli już o Długonogim. Jeżeli które pamięta, niech mi dopomoże, niech poradzi, bo i Krasnal nie zawsze znaleźć może radę.

Krasnal Długonogi

Jabłka są już w komorze

Poszedł Janek do ogródka ..

Placze... Z placzu drży mu bródka...

Rosły jabłka
na jabłonce:
i czerwone
i pachnące.
No i znikły
wszystkie z drzewa,
jak łez gorzkich
nie wylewał...
Nie płacz, Janku,
nie płacz, mały,

wszak te jabłka
już dojrzały.
I dziś wcześniej,
bardzo rano
piękne jabłka
z drzew zebrano.
I w komorze
na policy
jest ich tyle,
że nie zliczysz!...

Już wkrótce nowy wyścig sprytnych główek

Krokodyl Ramamba i perliczka Rakanga

Rakanga, mała perliczka i Ramamba, wielki krokodyl zaprzyjęli sobie raz (bardzo już dawno temu) wieczystą przyjaźń. I nie tylko oni mieli tego prawa przestrzegać: mieli żyć w przyjaźni i ich ojcowie i matki i dzieci i wujkowie i ciocie i nawet najdalsi kuzyni — wszystkie perliczki miały być w przyjaźni ze wszystkimi krokodylami.

I tak rzeczywiście było. Małe perliczka bawily się z małymi krokodylatkami, starsze perliczki gawędziły wesoło ze starszymi krokodylami.

Aż raz do leżącego nieruchomo z przymkniętymi oczami, nad brzegiem rzeki Ramamby, przysła w odwiedziny hiena. Popatrzała na stada perliczek, biegające nad wodą i oblizła się:

— Przyglądasz się, jak widzę, swemu obiadkowi! — rzekła.

— Co? — zdziwił się Ramamba.

— No tak. „Czy nie masz zamiaru zrobić sobie obiadu z tych perliczek? — Nie masz pojęcia, co to za smakołyk.

— Nie mogę. Czy nie wiesz, że przyrzekłem im przyjaźń!?

— No to złamiesz przyrzeczenie. — Wielkie rzeczy!...

— Ale przecież cały świat wie o moim przyrzeczeniu.

— No to cały świat się dowie, żeś je złamał. Też mi przyjaźń: Wielki piękny krokodyl i mała, szara perliczka, z której niema żadnego pożytku, jeśli się jej nie zjada. Bo mięso ma smaczne, to jej trzeba przyznać.

Hiena zaśmiała się paskudnie, jak to tylko hieny śmiać się potrafią (czytaliście o tym śmiechu w „Pustyni i w puszczy!”) i odeszła. Całą tą rozmowę obserwowała zdaleka Rakanga i pokręciła głową: „Oj, coś za długo to wstrętne zwierze gadało z Ramambą. A to też zbyt świeży przyjaciel, nie można mu ufać?”...

Mineło kilka dni Krokodyl Ramamba leżał wciąż nieruchomo — jak to krokodyl — nad rzeką i rozmawiał

Właściwie hiena miała rację. Taka przyjaźń — to rzecz śmieszna. A obiadek z perliczek byłby bardzo miły... Ponieważ jednak perliczki ostrzeżone przez ostrożną Rakangę trzymały się już od krokodyli zdaleka — za radą proszonej o nią hieny — Ramamba postanowił zwabić je podstępem.

Jeden z jego synów przybiegł do perliczek, lejąc krokodylowe łzy, z wiadomością, że Ramamba zdechł nagle tej nocy, w chwili, kiedy z wielką miłością i przywiązaniem mówił o perliczkach. Rodzina więc prosi, żeby wszystkie perliczki wzięły udział w żałobnych uroczystościach.

— Bądźcie ostrożne — powiedziała do swoich Rakanga. — Nie dajcie się podejść.

Nad rzeką leżał rzeczywiście Ramamba i robił wrazenie nieżywego, ale Rakanga nie dała się oszukać.

— Nie uwierzcie, że jest martwy, dopóki nie zobaczą zwykłych dla martwych zwierząt znaków.

— Jakież to są znaki?

— Poproście Ramambę jeśli jest naprawdę martwy — musi spełnić moje życzenia. Stań tu oto i mówię: Ramamba — jeśli jesteś nieżywy, porusz łapami!...

A Ramamba uwierzył w słowa perliczki i zamiast leżeć dalej nieruchomo i udawać martwego, zaczął gorliwie machać łapami.

— Aha! a teraz otwórz paszczę!...

Ramamba otworzył paszczę.

— A teraz otwórz oczy i patrz na nas. Przypatrz nam się dobrze, bo więcej nas nie zobaczysz.

I perliczki odleciały z szumem, turkotem i śmiechem z krokodyli. Przyjaźń była zerwana.

Odtąd perliczki boją się wody i unikają jej jak tylko mogą. Kąpią się w polu i piasku, piją rosę, a do rzek i stawów nie podchodzą, bo wciąż zdaje im się, że na brzegu leży stary krokodyl, który udawał ich przyjaciela, a chciał z nich sobie zrobić obiad.



— W Chinach w ostatnich sześćdziesięciu latach straciło życie, jak obliczył jeden z chińskich profesorów, czterysta milionów ludzi. Od roku bowiem 1845 liczba ludności z 405 milionów wzrosła do 447 milionów w 1936 r. mimo wysokiego procentu urodzin. Powodem jest duża śmiertelność skutkiem wielkich żywiołowych katastrof głodu, epidemii i powodzi oraz wojen domowych.

Jak to dawniej bywało

Jan III Sobieski po wielkim zwycięstwie nad Turkami pod Chocimem został obrany królem. Nie tracił czasu na uroczystą koronację ten wielki wojownik, lecz śpieszył bronić dalej ojczyzny przed groźnym nieprzyjacielem. W tym czasie kiedy Polacy byli zajęci obieraniem króla Turcy korzystali z okazji, płądowali i palili miasta. A ich mieszkańców zabierali w jasyr. Między in. oblegli Trembowlę, zamek obronny na Rusi Czerwonej. Grodu tego bronił uparcie dzielny wódz Samuel Chrzanowski. Odpierał szturm za szturmem, lecz przewaga sił nieprzyjacielskich była zbyt ogromna, aby garstka rycerzy mogła obronić gród. Jak okiem sięgnąć było z murów — rozłożyły się tureckie obozy pełne namiotów, koni, wojowników. Działa grzmiały bezustannie, niszczyły mury, walecznych obrońców ubywało.

Zwąpił mążny Chrzanowski, widział że załoga upada z sił, że z duchem rycerstwa jest nie lepiej, że bronić się dłużej jest niepodobieństwem. Zwołuje więc radę wojenną i przedstawia groźne położenie twierdzy.

Jeśli Turcy zdobędą gród, nie tylko go zniszczą ale wymordują okrutnie mieszkańców lub unrowadzą w niewolę. Czyż nie lepiej poddać się, zastrzegając sobie życie z trawidzcy i życie mieszkańców? pyta zgnębiony zgromadzonego rycerstwa.

— Masz słusność, wodzu, ocalić zam-

— Wraz z mijaniem pory deszczowej w Abisynii Włosi rozpoczynają prace nad rozbudową stolicy. Przyszła włoska Addis Abeba będzie miała niewiele wspólnego z dawną stolicą Negusa. Włosi projektują zbudowanie wspaniałego miasta-ogrodu na 200.000 ludzi. Miasto podzielone będzie na szereg dzielnic, otoczonych parkami, Addis-Abeba ma być miastem wolnym, jednakże posiadać będzie na swych krańcach szereg fortyfikacji, które obrońcy ją mają przed wszelką napaścią.

ku nie można więc ratujmy życie — mówią rycerze.

Wtem wchodzi do komnaty Zofia Chrzanowska, małżonka wodza. Twarz ma bardzo bladą i blysk pogardy w oczach. W rękę trzyma sztylet.

— Hańba, poddawać gród niewiernym! Przrzekliście przeciw bronić go do ostatniej kropli krwi. Chcecie wroga błagać o życie, wy — rycerze! Wstyd mi za was. Przysięgam ci, mężu, że sztyletem raczej przebiję ciebie i siebie, aby nie widzieć twej hańby.

Wstyd chwycił rycerzy za gardła — porwali się z miejsc i pobiegli na mury.

— Lepiej zginąć niż prosić wroga o życie...

I znów idzie szturm za szturmem. Grzmiały działa nieprzyjacielskie, wała się mury, padają dzielni obrońcy. W sercach rycerzy aż się gotuje od zawziętości na Turka.

— Nie damy twierdzy — wołają.

W noc naprawiono szkody, poczyniono przez działa.

Następnego ranka Turcy zamiast uderzyć do szturmów zaczęły związać obozy i odstępować.

— Co to? Dlaczego? Turcy odstępują? Cud! Cud! wołają rycerze.

Wtem głos jakiś krzyknął:

— Król z odsieczą idzie! Patrzcie!

I rzeczywiście z lasu wychodziły pierwsze kolumny i zajaśniały sztandary królewskie. Trembowla była ocalona.



(11. ciąg dalszy)

Naraz rozległy się głosy:

— Alun - alun!

Chłopcy spojrzeli: stali przed domem większym nieco od innych, wzniesionym nad ziemią o stope i opartym na kilku słupkach, jak szafa na nogach.

— A!..a, więc to jest „alun - alun”! — powiedział Mietek. — To pewno znaczy — świątynia, albo dom narad.

— Albo więzienie! — mruknął Julek.

— Nie krzacz! Nie krzacz!

Lektyki zniżyły się i chłopcy zeszli z nich na ziemię.

— Tylko pamiętajcie o powadze! — mówił Mietek. — Krok poważny, mina uroczysta...

— ...Głowa do góry, pierś naprzód, oddychać nosem — skończył Julek, nadymając się i stawiając nogi jak bocian.

Weszli do ciemnego wnętrza, nieoświetlonego żadnym oknem. a za nimi wniesiono ich plecaki i z uszanowaniem cofnęły się wszyscy.

— Wszvstko to dobrze — mówił pozwoli Mietek. — Ale teraz musimy dobrze się zastanowić, co robić dalej. Zdaje się, że nam nie grozi tymczasem, ale w każdym razie musimy się stąd wydostać. Niech więc każdy powie, jaki ma projekt.

Wacek usiadł i powiedział:

— Ja myślę tak: niech nas te dzikusy karmią...

— No, naturalnie! — prychnął Julek.

— O tem Waleczek nie zapomni nigdy...

— Nie przeszkadzaj! Niech nas karmią i niech nam budują dużą łódź. a potem odwiozą do najbliższej wyspy, gdzie są biali. Jeżeli jesteśmy na archipelagu, jak mówi Mietek, to wyspy są tu blisko siebie. Dojedziemy do Cejlonu albo Sumatry, a stamtąd...

— A stamtąd — przerwał znowu Julek — przewiozą nas darmo, aż do Gdańska za piękne oczw. tak?

— No, to jeszcze każmy tym dzikusom zbierać dla nas złoto i drogie kamienie,

— Głupstwa pleciesz! — oburzył się Julek.

Czy to od dzikich zależy, żeby było złoto, czy co? Przecież to zależy od ziemi... A zresztą — gdyby nawet — to myślisz, że to tak prędko pójdzie takie zbudowanie łodzi? Zawsze ze dwa, trzy miesiące. A my co mamy robić przez ten czas? Siedzieć w tym ciemnym „alunie” i jeść to, co nam przyniosą? Albo gwizdać i świecić latarką, udając bożka. Przepraszam, ale to nie jest odpowiednia posada dla mnie.

— No, więc co? — stropił się Wacek.

— Czy... czy ja też mogę? — wysunął się Breloczek.

— Mów, mów Breloczku! — powiedział Mietek. — W Wygwizdowie wszyscy mają równe prawa.

— Więc... więc ja myślałem, żeby tym dzikim zrobić coś dobrego... Naprzykład nauczyć ich czytać, albo ochrzczyć ich... albo nauczyć ich budować mrowane domy..

— Hip, hip, hurra! — wrzasnął naraz Julek i schwywszy Breloczka zaczął z nim skakać po izbie. — Breloczek odkrył Amerykę! Breloczek wynalazł proch! Breloczek jest zuch i morowie!

Tu postawił Breloczka i podniósł uroczyście rękę:

— Wysoki Wygwizdowie! Postanówmy uroczyście, że tę oto wyspę wraz z jej czekoladowymi obywatelami przerobimy na Europę. Założymy im szkoły, tramwaje, koleje, telefony, telegrafy, aeroplany...

— Gramofony! — mruknął Wacek.

— Owszem, i gramofony! żebyś wiedział!

— Ciekawym jak to zrobisz? — mruzczał Wacek. — Przecież nie potrafisz.

— Pewno, że jak zgóry każdy powie, że nie nie potrafi, to nie nie robi, ale nie świeci garnki lepia. A iak Robinson dawał sobie radę?

— Taak niby... bąkał nieprzekonany Wacek. — Ale przedewszystkiem Robinson dużo znalazł na rozbitym okręcie, po

drugie nie zrobił nie z tego, co ty chcesz zrobić, tylko rzeczy najkonieczniejsze, a po trzecie przecież to książka, a w książce wszystkie się udaje.

— Tak, ale Robinson był sam i musiał ciągle o jedzenie się starać, a my jesteśmy wsiadliwi i w dodatku mamy tych dzikich...

— Słuchajcie no! — odezwał się Mietek, wódz Wygwizdowa i wszyscy umilkli. — Niema gadania, że będziemy się starać wrócić do kraju. Ale to prędko nie pójdzie, więc tymczasem musimy tu siedzieć. A skoro musimy tu siedzieć, to postaramy się ulepszyć co będzie można tak dla naszej wygody, jak dlatego, żeby pomódz tym biedakom. I jeszcze z jednej przyczyny...

— No, no?

Mietek podniósł głowę i wyprostował:

— Dlatego — powiedział twardo — że wyspę tę ogłaszamy za kolonję, pierwszą kolonję Najjaśniejszej Rzeczypospolitej Polskiej i w Jej imieniu ją zajmujemy.

Chłopcy wyprostowali się jak struny, a Mietek mówił dalej:

— W najbliższych dniach wywiesi się sztandar, spisze akt objęcia i schowa się do metalowej puszki, albo butelki, jak to się zawsze robi i nada się nazwę.

— Wiwat polska wyspa! Niech żyje polska kolonja! — huknął Wygwizdów z błyszczącymi oczami.

— Dobrze! — krzyknął Julek. — Ale nie będziemy rządzić jak jacy Niemcy, albo jak Hiszpanie w Ameryce, co to wyniszczyli Azteków! Musimy im zaraz zrobić Sejm... I powiedzmy im poprostu, że jesteśmy zwyczajnymi chłopcami...

— Tereferę kukul — przerwał Mietek. — Dużo przyjdzie z tego i im i nam. Niech tymczasem uważają nas za bożków: to nam ułatwi pracę dla ich własnego dobra. A potem, powoli, nauczymy ich rządzić się i zrobimy im Sejm i inne rzeczy.

— No, może i masz rację! — zgodził się Julek. — Ale od czego zaczniemy, co? Może... nauczyć ich budować mury, domy, jak radził Breloczek?

— No, dobrze, a od czego zaczniesz? — wtracił się Wacek.

— Od czego! od czego! Znajdę glinę, wypalę cegły i już!

— Tak? i cegły same będą się trzymać?

— No, to zrobię wapna!

— Ciekawym z czego?

— Jąko z czego?

— No, tak: z czego?

Julek się zamyslił, a potem spojrzał niepewnie na Mietka:

— Wapno to chyba się kopie w ziemi, co?

Mietek trochę się zaczerwienił:

— Tak... właściwie jest taki kamień-wapniak, ale on jest twardy, a wapno miękkie i syplik, więc nie wiem czy...

— Widzicie! — przerwał Wacek. — Nie wiemy nawet jak zbudować dom, a Julek chciał tramwaje, telefony...

— No, więc co byś ty chciał? — rozłożył się Julek. — Żeby leżeć dogóry brzuchem?

— Ja nic nie chcę, tylko mówiłem odrazu, że Robinsonowi tak się wszystko udawało, bo w książce tak zawsze. A jak się chce co zrobić, to wiadomo z którego końca zacząć.

Mietek podniósł głowę i powiedział:

— Wacek ma trochę racji: mało u- miemy. Ale może przecież uda nam się coś zrobić. Oczywiście nie telefony, ani tramwaje, ale może... bo ja wiem... drogi porobimy, albo domy choćby drewniane, ale lepsze...

— Ciekawa rzecz! — mruzczał Julek, trąc sobie zawzięcie czuprynę. — Skończyłem przecież całą szkołę powszechną, teraz jestem w państwowej gimnazjum... Zdawało mi się, że dużo umiem, a tymczasem o czem tylko pomyślę — to nie nic nie potrafię zrobić. Umieć czytać i pisać po polsku — dobrze, no a co więcej?

Tu Julek zaczął wylizywać na palcach:

— Domu zbudować — nie potrafię. Orać, siać i żąć — nie potrafię. Uszyć butów albo ubrania — nie potrafię... Do licha! cóż ja potrafię?

Naraz ścieńca „alun-alunu” rozległ się jakiś gwar.

— Co to? — szepnął Wacek i przyłożył oko do szpary. Po chwili raportował:

— Naradzają się nad czemś strasznie i pokazują palcami na nasz dom.

Tymczasem drzwi zlekką się uchyliły i wsunął się spory kosz, pleciany ze świeżych gałęzi, a w nim jakieś owoce.

Wygwizdów zbliżył się ciekawie do kosza, gdzie leżały ciemno czerwone, okrągłe owoce z małymi liškami przy okonku.

— Co to może być? — obliznął się Wacek. — Morele czy co?

— Ale, morele! To już prędzej granaty... odezwał się Julek, biorąc do ręki owoc. — Hm, skórka trochę twarda... ale wewnątrz... patrzcie! działki takie jak w pomarańczu...

(Dalszy ciąg nastąpi)

Nasze listy

Ungiers Józefa: Czyż nie wiesz dotąd, Kochanie, że Krasnale nigdy na swoich przyjaciół się nie gniewają? A przecie mówiliśmy Wam o tem nieraz.

Czemu Twoje liściki są takie smutne? Przyjaciele Krasnali rzadko się smućą, a jeśli im jest źle, to Krasnale pomogą, byleby wiedzieli na co trzeba szukać lekarstwa.

„Mała kobietko” — mamy już kilka liścików od Ciebie, a dotychczas prawie nic o Tobie nie wiemy. Musisz nam napisać o sobie wszystko, wszystko. I ile masz lat, i co robisz, i co lubisz, a czego nie, wszystko, wszystko, a wtedy może znajdziemy radę na to, żebyś była wesola. Jeżeli nie zaradzi ani Długonogi ani Nie-duży, pójdziemy do Starego Krasnala na radę, a on to już napewno coś wymyśli.

Czekamy listu. Dowidzenia.

Poziec Stasia Dziękuję Ci bardzo za liścik i opowiadanko, które niedługo wydrukujemy. Musisz do nas napisać jeszcze i to dużo o sobie, żebyśmy Ciebie dobrze poznali, bo przecie przyjaciele muszą się dobrze znać. Cały arkusik mu-

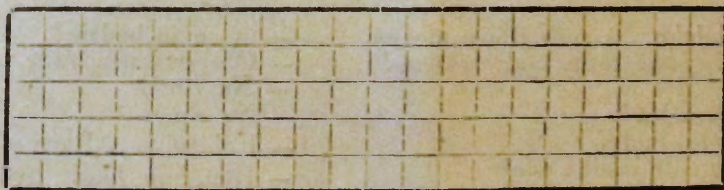
sisz zapisać dookoła. A to, że niektóre literki niegrzeczne, włączają Ci na swoje miejsca — to nic. Z czasem się nauczysz pisać poprawnie, a my chętnie Ci pomożemy. Jak dostaniemy od Ciebie taki duży, duży list odpowiemy Ci pocztą i napiszemy co i jak musisz robić z tymi literkami, żeby Ciebie słuchały. Dobrze? Tymczasem Pa!

Cześć Szklennik. Tak, wakacje są mile, ale już minęły, więc już teraz nie będziesz o nas zapominał, prawda? No tak, nie możesz brać udziału w konkursie, bo nie uczysz się jeszcze historii i geografii, ale, z pewnością, coś czytasz, możesz więc napisać, jakie książki najbardziej ciębie interesują. Napiszesz nam teraz, jak spędziłeś wakacje i jak czujesz się obecnie w szkole. Napewno chodzicie teraz jeszcze ze szkołą na wycieczki, bo w tym roku mamy ładne słoneczne dni jesienne. Czy zbierasz kasztany i liście? Z kasztanów można zrobić dużo ładnych zabawek. Czekamy od Ciebie długiego listu, a tymczasem zaszliśmy Ci i Twoim najbliższym moc pozdrowień.

Krasnale

Pomyśl chwilkę

Logogryf



Do figury wpisać pionowo 20 pięcioliterowych słów o wspólnej dla wszystkich wyrazów literze początkowej. Rząd środkowy poziomy da rozwiązanie.

1. Odpis z oryginału; 2. zwierzę domowe; 3. znamię chrześcijaństwa; 4. rzadka tkanina z mocnych nici do wyszywania włóczką; 5. zabezpieczenie okiennic; 6. mała wąska łódka; 7. mały konik; 8. wyśmiewanie; 9. krainy pograniczne; 10. mała kupa; 11. książę ruski; 12. wo-

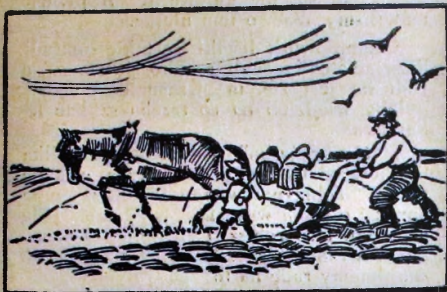
rek do pieniędzy, sakiewka (e=ę); 13. lalka, marionetka; 14. wielka gałąź; 15. pień, bela, kłoc; 16. poczwarka jedwabnika w oprzędzie; 17. jednostka wagi drogich kamieni; 18. pokój szkolny; 19. inaczej zeszyt; 20. to czem się otwiera.

Zagadka

Zawsze będzie imię, wszak,
Czy przeczytasz wprost, czy wspank.

Co się jesienią u nas dzieje

W polu ludzie
chodzą za pługami.
Orzą. Kto ich mija
Mówi „Szczęść Boże“



W mieście dzieci
Wróciły do szkół
I wesote głosy
Stychać na ulicach

Psia buda

Zima-niedaleko. A pies Rudy nie ma ciepłej budy. Idzie tatuś podwórkiem i widzi:

Niema Rudy
ciepłej budy.
Wiatr do środka wieje,
bardzo źle się dzieje.

— Ham, ham! Jestem bardzo nieszczęśliwy — szczeka Rudy.

— Przynies gwoździ — mówi ojciec: do Jędrka. A sam poszedł na strych i wybrał kilka kawałków papy, takiej od dachu.

—Potrzymaj młotek, Jędrak.

— A co to będzie?
— Obijemy psu budę.
— Na zimę?
— Na zimę.
— I obijali. A Rudy cieszył się:
— Hau, hau, hau! Będzie mi ciepło.
— Czego to ten Rudy tak wesolo szczeka? — dziwi się mama, gotując obiad.
Wyszły z domu mama i Franka. I też się cieszą.

Doczekał się Rudy
takiej pięknej budy.
Będzie ciepło zimę całą,
już nie będzie wcale wiało,